

Andrzej SULIKOWSKI

## IRENA SŁAWIŃSKA: ROZMOWY I WYCIECZKI

Spotkanie pierwsze, w Krakowie, około roku 1978, przypada na trudny czas dla społeczeństwa: pustki w sklepach, miasto pod ciężkim kloszem pyłów i gazów przemysłowych. Ubecja prześladowuje opozycję, niedawno zamordowano Stanisława Pyjasa, studenta polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeszcze chyba nie wybrano Karola Wojtyły na stolicę Piotrową. Zjazd współpracowników „Tygodnika Powszechnego”. Podczas obiadu dosiadam się do stołu Ireny Sławińskiej, którą znam z książek o Norwidzie, ze znakomitych rozpraw teatrologicznych, z recenzji i artykułów tygodnikowych. Trochę też ze zdjęć. Wydaje mi się znajoma, od razu bliska, jak wiejska gospodyni spod Makowa Podhalańskiego czy z Zawoi. Nie wygląda na intelektualistkę. Potrzeba trochę czasu, by docenić inteligencję starszej pani, pewną uszczypliwość czy nawet złośliwość. Potrafi powiedzieć z przekąsem: „O tak, ten krytyk, wymieniany przez pana, od lat wysługuje się komunistom; absolutnie dyspozycyjny, nie ma o czym mówić”.

Rozmawiamy o teatrach krakowskich, co warto obejrzeć, nad czym rozmyślać. Na wybrane spektakle profesor Sławińska wybiera się z Lublina na drugi koniec kraju, nie zważając na odległość. „Obecna Polska jest krajem raczej niewielkim, w każde miejsce dojeżdża się w ciągu jednego dnia. Więc czemu nie podróżować? Ja bardzo lubię podróże, nauczyłam się pracować w drodze, w pociągu” – mówiła. Stopniowo – w ciągu kilku lat rozmów – rekonstruujemy sieć tych wyjazdów, spotkań, recenzji: Sławińska bywa wszędzie tam, gdzie w teatrze dzieje się coś istotnego. Równocześnie interesuje się drugim obszarem, trudniej dostępnym dla badaczy: jeździ do teatrów seminarijnych, próbuje dokumentować życie artystyczne w uczelniach kościelnych, gdzie repertuar nie jest cenzurowany, a wykonawcy są pełni zapału. Jakby chciała powiedzieć: „Musimy to robić, właśnie na KUL-u, bo kogóż to poza tym obchodzi? Komuniści chcą zdusić życie kulturalne, zdławić spontaniczną twórczość”. Omawiamy trudności organizacyjne kolejnych sacrosongów, festiwali wewnątrzkościelnych, nękanych przez cenzurę, śledzonych przez Służbę Bezpieczeństwa.

Po tym pierwszym spotkaniu już wiem, że Irena Sławińska nie ma zwyczaju zawierać kompromisów z władzą świecką, że zawsze kwestionuje politycznych zwolenników sowieckiej Moskwy. Również do władz kościelnych zachowuje pewien dystans, jak do każdej instytucji. „Przeważnie nie należy ufać urzędnikom, nawet w sutannach. Wyjątkiem jest prymas Wyszyński, wasz kardynał Wojtyła i kilku niezależnych księży. Najpierw trzeba być chrześcijaninem, a dopiero potem urzędnikiem” – mówiła.

Lublin pamiętał o Krakowie, gdy na przykład organizowano na KUL-u konferencje naukowe, przysyłano nam imienne zaproszenia, sugerowano tytuły referatów. To już nie pani Sławińska, lecz uczeni młodszy o jedno pokolenie: Stefan Sawicki i Maria Jasińska-Wojtkowska. Tym dwojgu przede wszystkim zawdzięczam wieloletnią duchową łączność z tamtejszą Sekcją Filologii Polskiej. Z Krakowa do Lublina jechało się wówczas całą noc, jakby Lublin był na Wybrzeżu. Do dziś jednak brakuje bezpośredniej linii kolejowej, wciąż zaznacza się układ sieci dróg żelaznych narzucony przez zaborców: Rosję i Austrię. Podróżowałam więc całą noc, objazdami, przez Kielce i Radom, wreszcie Puławy, Nałęczów, Lublin – szlakiem wieloletnich dojazdów na KUL Karola Wojtyły, Jacka Woźniakowskiego, Ryszarda Łuznego i kilku jeszcze profesorów krakowskich, wzmacniających kadry naukowe kościelnej uczelni.

Konferencje lubelskie, przeważnie w bibliotece naukowej KUL, przyciągały wielu słuchaczy spośród studentów, a także zasłużonych profesorów. Od razu też tworzyła się osobliwa aura wolności, niezależności, jakby na progu biblioteki ustawała jurysdykcja PZPR. Wśród gości Irena Sławińska się nie wyróżniała, ubrana była skromnie, bez szczególnej dbałości o elegancję. „Jestem już właściwie emerytką – powiedziała na przywitanie – ale pracuję nadal. Mam blisko do biblioteki, mieszkam tu obok, zapraszam po południu na herbatę”. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak wierna pozostawała raz danemu słowu: przyjaźń kielkującą, nawiązaną choćby wątłymi nićmi, uprawiała ze starannością dobrej ogrodniczki. Kiedykolwiek zadzwoniłem, zawsze znajdowała czas na spotkanie i na rozmowę.

W przerwach konferencji wertowałem główny katalog autorski. Było blisko, wystarczyło wyjść poza szklane drzwi czytelni, pomiędzy wysokie, masywne szafki z licznymi szufladkami. Przesuwałem kartoniki wypróbowanym, „karcarskim” sposobem, jakby talię kart do brydża (ulubionej gry pani Ireny). Można było wówczas przekonać się, ile ważnych artykułów, studiów i książek już opublikowała Irena Sławińska. Poprzedzała w drewnianej szufladce znakomitego Janusza Sławińskiego z Instytutu Badań Literackich; początkowo sądziłem, że może są nawet spokrewnieni, żartowali w podobny sposób, mieli też podobny rodzaj wyobraźni strukturalno-semiotycznej. Sąsiadowali tutaj, w drewnianej szufladce, od kilkudziesięciu już lat, zajmując dziesiątki kartoników. Oboje też dostrzegali monstrualną głupotę w centralnym zarządzaniu nauką. Musiało minąć piętnaście lat, nim Janusz Sławiński przyjechał na któryś

Tydzień Polonistów KUL i zaprzeczył: z całą pewnością nie byli krewnymi – przynajmniej na tym odcinku genealogicznym, który ogarniała pamięć historyczna obu stron.

Irena Sławińska potrafiła wyławiać z referatów istotne myśli od pierwszego słuchania. Konspekt sporządzała w głowie, a *prima vista*, od razu też dyskutowała z cudzymi poglądami: albo publicznie (z wielkim upodobaniem), albo z samym autorem/autorką w kularach. Już wtedy zauważało się, że do każdej kwestii szczegółowej chętnie dorzuca literaturę przedmiotu, że próbuje dookreślać definicje. Starsza, pomarszczona pani, z lekko drżącą głową, uśmiechająca się szeroko, trochę jak gospodyni wiejska na kominkowych plotkach, zaskakiwała słuchaczy celnymi odwołaniami do filozofii współczesnej, szczególnie do antropologii rozwijanej w dwudziestym wieku.

Na jakimś dalszym, głębszym planie trwała cały czas praca myślowa Sławińskiej, o czym przekonywały doskonale teksty pisane w tamtych latach. Na artykuły pani Ireny natrafiałem przypadkowo, w Jagiellonce albo przy okazji kwerend w dobrze zaopatrzonej bibliotece macierzystej – Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, w Gołębniku. Czytywałem fragmenty książek, lecz o całości dzieła nie miałem pojęcia, ponieważ nie opublikowano jeszcze żadnej bibliografii. Te, dołączone później do książek jubileuszowych, istniały wówczas tylko w maszynopisie uczniów albo nawet wyłącznie w notatkach rękopiśmiennych uczoney. Najpełniejsza znajduje się w książce jubileuszowej *Świat jako spektakl*, wydanej w roku 2003 z okazji pięćdziesiątych urodzin Ireny Sławińskiej.

Ulica Chopina 29/12 w Lublinie. Pokój sublokatorski od ulicy cichej i zadrzewionej, z książkami na regałach od podłogi po sufit. Tutaj była nieustająca pracownia humanistyczna: na biurku walizkowa maszyna do pisania, papier przebitkowy i bezdrzewny, grubszy, kalka cieniutka i czarna, mnóstwo notatek odręcznych, starsze zeszyty, używane wielokrotnie. Stosy rozpieczętowanych kopert, z kraju, z Europy, ze Stanów Zjednoczonych. Pliki różnokolorowych listów zatknięte pomiędzy książkami. Gdzieś z boku otomana, jakby odpoczynek należał do spraw wstydliwych. W każdym razie – drugorzędnych.

Aby sprostać napływającej nieustannie korespondencji – przekonałem się na wakacjach w Rogóźnie – pani Irena przeznaczała do odpowiedzi widokówki lub kartki korespondentki, które wypełniała swym wyraźnym ręcznym pismem. Rzadziej używała maszyny do pisania, gdyż – o ile zdążyłem się dowiedzieć – na początku dwudziestego stulecia w towarzystwie uważano, że większy szacunek dla adresata okazuje się pismem odręcznym niżli mechanicznym. Pisała wtedy szczególnie do ludzi młodszych, do swych wychowanic i wychowanków, którym chciała słać otuchę w wymiarze najogólniejszym, czyli chrześcijańskim. Chciała aby słowa napisane – czy to długopisem, czy to piórem – niosły pociechę jakby nad-codzienną, pociechę w duchu Norwidowskim. Tych listów muszą być zachowane setki, może tysiące, skoro pani Sławińska z tyloma ludźmi podtrzy-

mywała kontakty, tworząc coś w rodzaju wielkiej duchowej wspólnoty, zastępującej poniekąd zwykłe życie rodzinne i dialogi codzienne, których nie miała w nadmiarze, ponieważ wybrała samotność, to jest drogę wyrzeczenia się po- ciech towarzyskich i najbardziej bezpośrednich.

Opowiadała mi o swojej przyjaźni z Hanną Malewską. Poznały się w Paryżu, jeszcze w młodości przedwojennej: „Ja byłam jeszcze nikim, ledwie doktorantką, Malewska miała już w dorobku dwie powieści, w tym jedną europejskiej klasy, *Żelazną koronę*”. Raz zawarta znajomość, stopniowo się umacniała dzięki wspólnym zainteresowaniom. Dzięki lekturze Norwida te właśnie kobiety – niezależnie od siebie – dały znakomite, nowatorskie interpretacje: Malewska artystycznej biografii poety i jego programu estetyczno-filozoficznego w książce *Żniwo na sierp* z roku 1947, zaś Sławińska dramaturgii i teatru artysty w dwu pamiętnych, wciąż ważnych książkach: *O komediach Norwida*, wydanej w roku 1953 oraz w *Reżyserskiej ręce Norwida* z roku 1971. Przyjaźń trwała do ostatnich lat Hanny Malewskiej, do ciężkiej choroby, nienaruszającej męznego ducha. Eucharystia była dla pisarki istotnym, rdzennie chrześcijańskim podłożem codziennych prac i wszelkich zdobyczy duchowych. Tym rodzajem męstwa ewangelicznego odznaczała się też pani Irena, nie przyjmując do wiadomości, że po osiemdziesiątce można spowolnić tempo swoich prac.

Gdy w roku 1993 szykowało się wydanie monografii „*Pozwolić mówić prawdzie*”. *O twórczości Hanny Malewskiej* – w niełatwych latach finansowego ogołocenia inteligencji, po reformie Balcerowicza – właśnie pani Irena Sławińska postanowiła wspomóc wydanie. Z prywatnej kiesy. Dzięki darowiźnie pokryliśmy koszty przepisywania tekstu gotowego (w maszynopisie) na komputer. Była to niewielka, ale dla nas najważniejsza dotacja, jako „stygmata przyjaźni” sięgającej poza śmierć, by użyć trochę patetycznych słów Norwida. Gdy książka została rozprzedana, zwróciłem pani Irenie tę dotację. Pieniądze te przeznaczyła na kolejny „sponsoring”, tym razem bodaj akcji „Caritas”. Wpłacała też datki na „Wioski Dziecięce SOS”. Spotkaliśmy się kiedyś na poczcie, w pobliżu KUL, na ulicy Łopacińskiego, gdzie rośnie monumentalna topola, szczęśliwie ocalona spod siekiery technokratów, pustoszących drzewostan wokół Collegium Jana Pawła II. Pani Irena, stojąc u okienka, wypełniała czterokrotny przekaz bankowy, powtarzając dane (kalkowane formularze znane były tylko na Zachodzie). Było gorąco, pełne światła dni czerwcowe. Kurz na chodnikach. Rosnące ku słońcu gałęzie i gałązki. Pełnia wegetacji. A starsza pani nie na zasłużonej emeryturze, nie nad jeziorem, lecz przy sprawach społecznych, które po swojemu – skutecznie i dyskretnie – animowała.

Gdy w roku 1988 przeprowadziłem się z Krakowa do Lublina, nasze spotkania i częściej się zdarzały, i dotyczyły spraw ważniejszych. Inaczej być nie mogło. Otóż Irena Sławińska, od dobrych paru lat emerytowana, nadal żyła sprawami KUL-u, nadal przychodziła co dzień do stołówki uczelnianej na obiad, a potem zaglądała do nas, do Sekcji Filologii Polskiej, pytając o wiele

spraw aktualnych. Pani Sławińska była zawsze świetnie poinformowana, wszystko natychmiast kojarzyła, mimo zbliżającej się osiemdziesiątki, stwarzającej okazję do małego jubileuszu. Wieloletni trening naukowy umożliwiał jej pamiętanie rzeczy ważnych (i mnóstwa pomniejszych). Podobny mechanizm intelektualny dostrzec można było u Czesława Miłosza: interesował się nowościami, chwilą bieżącą, niekoniecznie literacką, lecz równocześnie pamiętał tyśiące minionych nocy i dni.

Kiedy stało się jasne, że w pewnych dniach, w pewnych sytuacjach Irena Sławińska gorzej słyszy, chcieliśmy ułatwić jej komunikację z otoczeniem. Okazja nadarzyła się prędko. Otrzymaliśmy zaproszenie na wykłady objazdowe: do Rzeszowa, Przeworska, Jarosławia. Czyli na południe od Lublina. Droga na Podkarpacie najwygodniej wypadła autobusem. Trasa była znana, już „objeżdżona”, już opatrzona, a przecież – przy słońcu, o poranku – wszystko wydawało się w dwójnasób ponętne. Pani Sławińska siedziała przy oknie, przetarliśmy zachlapane szkło, także z zewnątrz, kawałkiem papierowego ręcznika, bo czyszczenie szyb nie należało jeszcze do zwyczaju kierowców. „Inaczej niż we Francji – wzdychała pani Irena. – Tam się nie zaprasza pasażerów do zaniedbanego, niechlujnego pojazdu”.

Jazda trwała ponad dwie godziny, można więc było i wiele rozmawiać, i śledzić przemiany krajobrazu: od lessowych płaskowyżów lubelskich, od Kraśnika, przez zdrowe Lasy Janowskie, zjazd ku dolinie Sanu z postojem w Nisku, aż do pierwszych wzgórz Rzeszowszczyzny. Uroda Polski nieuprzemysłowionej przywoływała nam urodę życia. W Janowie Lubelskim mieliśmy postój piętnastominutowy, bo zapełniony autobus jechał szybko, z pominięciem przystanków. Rozkwitała wiosna, a rozkład jazdy obliczono z poprawką na warunki zimowe. Pani Sławińska wyszła na zewnątrz, ciekawa małomiasteczkowego świata. Bywała tutaj przejazdem. Postanowiliśmy zejść do sanktuarium Maryjnego.

Nie oddalaliśmy się zbyt daleko od placu postojowego: z naszego stanowiska PKS widać było i barokowy kościół, i woluty bramy wejściowej, i stare drzewa w świętym miejscu. Iść nie można było za prędko, niemniej znaleźliśmy się najpierw w kruchcie, a zaraz potem na wprost cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej-Różańcowej. Akurat trwało nabożeństwo, więc nie przechodziliśmy ku ołtarzowi. Nawet stąd, od tyłu, dało się widzieć sławny wizerunek – nadzwyczajnej delikatności, w srebrnej sukience z czasów barokowych. W wycięciach sukni widoczna jest twarz Obojga, Matki i Syna. Spojrzenie uważne czarnych oczu panińskich. Podobne oczy Chłopcica. Korony, późniejsze wota dziękczynne po uzdrowieniach. Wszędzie wokół, w innym wymiarze czasu – w nieśmiertelności oraz w Zmartwychwstaniu – wielki ród Zamoyskich, fundujący to miejsce, chroniący swoją ordynacją pierwotne lasy Roztocza przez cztery wieki, gdyż aż do sowietyzacji w roku 1945 istniało tu ważne centrum Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Centrum staropolszczyzny. Pozostała nazwa z tamtych lat: Łązek Ordynacki.

Tych kilka minut w kościele janowskim – zrazu dominikańskim, potem diecezjalnym – zapamiętaliśmy bardzo dobrze. Z wdzięcznością za zbiegi okoliczności, za wydłużony postój autobusu. Za reżyserską rękę Pana Boga. Przeniesieni zostaliśmy w świąty staropolskie, gdzie za dobro ojczyzny oddawano życie i majątek. Nie rozdrapywano skarbu koronnego. Nie sprzeniewierzano się sprawom najuboższych, sprawom najważniejszym. Wyszędłszy, zaczerpnęliśmy świętej wody z tutejszego dobroczynnego źródła, już nie tylko jadąc z wykładami na południe. Już pielgrzymując.

Bo oto w Rzeszowie czekała na nas słynna Piękna Madonna w kościele Bernardynów, czekały też historie cudownych uzdrowień spisane na barokowych tablicach. Za Wisłokiem rozciągały się łągi, gdzie pobudowano gmachy polonistyki. Z tej strony, u bernardynów, królowała Piękna i Zwycięska, zdjęta z gałęzi gruszy, Panna Podkarpacka. Mówiono o Niej w klasztorze „Matuchna”. Od klasztoru do budynku filologii polskiej szło się około dwudziestu minut. Dobrze znałem tę trasę „pigoniowską” dzięki profesurze kontraktowej w rzeszowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Byliśmy tutaj u siebie: profesor Sławińska z racji wieloletnich kontaktów z kręgiem swych wychowanków (Lucyna i Piotr Żbikowscy, Ryszard Strzelecki), ja natomiast jako „najemny” samodzielny pracownik naukowy.

Dni tamtej jazdy na południe – świetliste i wiosenne – dawały pani Irenie Sławińskiej okazję do wspomnień sprzed lat. Do powrotu na zapomniane szlaki. W Rzeszowie czekali wszak uczniowie z lat kulowskich najdawniejszych, jeszcze pięćdziesiątych. Odnawiały się wrażenia tamtych spotkań, tamtej atmosfery pionierskiej i poniekąd nawet spiskowej (bo zawsze przeciw cenzurze, przeciw konformizmowi politycznemu, przeciw dyktaturze głuptaków). Wracały twarze pierwszych seminarzystów, których dzieje Pani Profesor pamiętała w wielu szczegółach, z bardzo kobiecą dokładnością. Rzeczywiście, jak „Ciotka” – oddana i pamiętliwa. Niepozbawiona pewnej złośliwości. Przy docinkach profesor Sławińskiej trzeba się było mieć na baczności. Kontrować dowcipnie i bez zwłoki, bo inaczej pozostawała na placu boju zwycięska. Dominująca. Tak, potrafiła górować nad otoczeniem i nie zawsze to ukrywała, co irytowało różnych „dობkiewiczów naukowych”, pozbawionych fantazji i światowego rozmachu.

Wykłady gościnne profesor Sławińskiej w Rzeszowie śledzić można było w wygodnej, cokolwiek zbyt „laboratoryjnej” sali WSP. Prelegentce tymczasem chodziło przede wszystkim o punktowe, nieoślepiające światło. Z tym było gorzej, to chwilę trwało, ponieważ przy słońcu, za dnia, nikt z organizatorów nawet nie pomyślał o mocnej lampie. Tymczasem katedra znalazła się akurat w półcieniu. Zepsute żaluzje, więc nie można odsłonić okien. Nie używano wówczas halogenów, musiała więc pani Sławińska zadowolić się zwykłą żarówką 60 wat, wkręconą do biurowej lampy. Trochę wykład czytała, trochę uzupełniała, opanowując drżenie głowy. Mimo przeszkód zewnętrznych widziało się we wszystkim, co mówiła, spójność logiczną, poznawało się konstrukcję

myślową. Brała udział w życiu wspólnym uniwersytetów, potrafiła sprostać wymaganiom przyspieszonej współczesności, nadążać za światową teatrologią. W prosty sposób: „Ani dnia bez pożytecznej książki, ani dnia bez notatek do artykułu; nie pozwalać sobie na lenistwo duchowe”.

W drodze do Jarosławia pytałem o niezrealizowane w życiu plany pisarskie. Pani Irena wówczas szczerze wyznała: „Chciałam być pisarką, interesowałam mnie proza, ale już za późno”. I w tym punkcie nie było zgody. Mówiłem: „Nie jest za późno. Niech pani spróbuje napisać te najważniejsze teksty, istniejące w pamięci. Przecież nie muszą być długie”. „Jak Pan Bóg pozwoli” – powiedziała, wysiadając z samochodu przed biblioteką w Jarosławiu.

Pan Bóg pozwolił. Prędzej niżby ktoś przypuszczał. Po naszym powrocie z podkarpackiego tournée profesor Sławińska zaczęła spisywać epizody okupacyjne. Młodszym rocznikom, zdaje się, pani Irena nie opowiadała o Wileńszczyźnie lat wojny. Okazało się, że za parę lat ogłoszono spotkanie autorskie w pięknej sali Muzeum im. Józefa Czechowicza. Tam właśnie tłoczyli się poloniści kulowscy. Mnóstwo zaproszonych gości z miasta i okolicy. Chyba nadkomplet.

Pani Sławińska czytała teksty bardzo osobiste, wspomnieniowe, głęboko przejmujące. Bez wątpienia była to oszczędnie, surowo ujęta dobra proza. Jakiś fragment większej całości. Ta znakomita książka wspomnieniowa dopiero się rodziła, nikt ze słuchaczy nie miał pojęcia, że w roku 1998 zostanie wydana przez Norbertinum pod tytułem *Szlakami moich wód...* Tu właśnie znajdujemy fragmenty wówczas czytane: portrety dzieci i młodzieży zamordowanych w Glinciszkach 20 czerwca 1944 przez nacjonalistów litewskich. Pożegnanie z uczniami. Upamiętnienie niewinnych ofiar – kobiet, dzieci, starców – rozstrzelanych w odwecie przez pluton egzekucyjny.

W dawnym refektarzu klasztornym – głównej sali muzeum – czytanie przywołuje przeszłe zdarzenia. Istnieje jakaś chwalebna tradycja w przekazywaniu słowa przy posiłku, jak to się czyni w zakonach rodziny benedyktyńskiej. Sala o beczkowym, barokowym sklepieniu dobrze się nadawała do niegłośnego mówienia. Czas terażniejszy wydawał się bezpieczny i rozciągly, tymczasem w holu wisiały plakaty sprzed lat, anonsujące wykłady Juliusza Kleinera, Kazimierza Wyki, Marii Dłuskiej. W akustyce pomieszczenia przepadły głosy tamtych sławnych osób. Po zakończeniu prezentacji pani Irena podpisywała swoje dawniejsze książki. Chętnie rozmawiała w kularach. Działała wedle dawnej, wypróbowanej tradycji oratorskiej, wzbogacała słuchaczy – ludzi młodych, starszych i sędziwych. Trzy pokolenia. Może cztery. Było to niezwykle miejsce spotkań (za parę lat całkowicie zlikwidowane, bo muzeum przeniesiono gdzie indziej, zwracając zakonowi zagrabione nieruchomości).

W tym samym miesiącu należało pojechać jeszcze dalej, do Krakowa. Bliski kolega pani Ireny, Czesław Zgorzelski, również wilnianin, miał odebrać doktorat honorowy UJ. Reprezentacja kulowska wyruszyła o świtaniu spod Kościoła Akademickiego. Białym mikrobusem uczelnianym wyjeżdżaliśmy w kie-

runku Sandomierza. W słońcu, w najlepszym miesiącu, bo w maju. Po drodze wspólny różaniec w intencji doktoranta. Potem śpiewanie *Godzinek o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny*. Wiedzieliśmy, że pani Sławińska lubiła dawniej śpiewać (dużo i gromko). Tym razem dołączyła, ale głosem cichszym. Chyba trochę wyczerpana, bo prowadziła wykłady na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Z rozmów rzeszowskich pamiętałem, że męczy się publicznym mówieniem, że już gorzej niż kiedyś znosi odczyty cykliczne.

W Sandomierzu z pewnym trudem wyszła z wnętrza mikrobusa. Asekurowaliśmy starszą panią nadzwyczaj ostrożnie – ze stawem biodrowym nie ma żartów – wiedząc, że Pani Profesor w końcu, gdy stanie na ziemi sandomierskiej, ruszy ochoczo bez laski w górę, po stromej skarpie nadwiślańskiej, jak za dawnych lat turystycznych, w kierunku katedry i domu Długosza.

Pani Sławińska miała i tutaj swoich uczniów, wspominała gościnny domek Wiesława Myśliwskiego, upamiętniony później w znanej powieści *Widnokrąg*. Któż mógł przypuszczać, że będzie to laureat Nagrody Nike? W katedrze znalazł się gościnny ksiądz, który wyszedłszy z konfesjonału, oprowadzał po pięknym kościele piastowskim, budowanym przez Kazimierza Wielkiego. Bizantyjskie freski, prezbiterium wyłożone czerwonym suknem, ale zamknięte dla pielgrzymów. Tylko zza ogrodzenia pielgrzymi widzieli co nieco.

Znowu dostojna polskość: zamek piastowski, bruki, na szczęście, zachowane, Muzeum Iwaszkiewicza i znajomy rynek, przypominający Rzeczpospolitą szlachecką, bo i ratusz zachowany renesansowy, i podcienia gdzieśgdzie. Ceglany czcigodny gotyk sakralny i świecki, mocno osadzony na wzgórzu miejskim, po którym pani Irena chodziła z widocznym wzruszeniem, podobnie jak autor *Podróży do Polski*. Jest to miejsce o natężonej polskości, cywilizacyjny zwornik dobrych tradycji, litewsko-rusińskich, blisko Wisły, z której powierzchni pani Sławińska widziała to wspaniałe miasteczko parokrotnie, płynąc kajakiem. „Nie da się opowiedzieć tych splotów – mówiła – gdy rzekami dociera się nagle w miejsca historyczne, jak flisacy ze zbożem, od Krakowa do Gdańska”. Mało który profesor polonistyki miał podobne doświadczenia kajakerskie. Chyba jeden tylko krakowianin, Karol Wojtyła. Zaprzyjaźnili się oni zresztą jeszcze w latach pięćdziesiątych, na KUL-u.

Choć wyjechała bez śniadania, właśnie w Sandomierzu nadrobiła to niedopatrzenie przy gromadzkiej pomocy, bo ktoś miał kanapki, ktoś kawę w termosie. Rodziła się w naszej grupce polonistycznej wycieczkowa cenna solidarność. Schodziliśmy na parking, znowuż lekko ubezpieczając pierwszą damę polskiej teatrologii. Miasto na górze pozostawało w majowym słońcu, w śnieżnym listowiu, niepojęte jak Eucharystia. Jeszcze widziało się zza szyby ostry szczyt Długoszewego domu, jeszcze przez chwilę bryłę zamku, wieże katedry i kościoła św. Jakuba. Stąd do Krakowa jazda była wyśmienita, toteż na brukach w pobliżu Collegium Maius stanęliśmy we właściwym czasie. Znowuż w przestrzeniach gotyckich, jakby rzeczy najważniejsze wyrażały się poprzez stulecie czternaste i piętnaste.



Czesław Zgorzelski w todze z epoki, w birecie. Senat też przebrany był wedle reguł duchownych, od dawna przecież poniechanych, ale przywołanych na ten moment uroczysty. Dziwna zgodność zachowań, strojów, stropów za- bytkowych i ścian pamiętających Kopernika. Przesunięcie w czasie, chwilowe – wejście w świecką liturgię obrzędu doktorskiego. Berła uniwersyteckie, woźni – znani mi jeszcze z lat siedemdziesiątych, a wokół – wolna Rzeczpospolita. Poza jurysdykcją PZPR. Kiedyś rządili tu sekretarze POP, teraz wróciła prawowita władza rektorów i patronów: św. Jana Kantego i św. Jadwigi Królowej. Czesław Zgorzelski stał cierpliwie w czasie uroczystości, nie pomyślano, że należałoby starszemu panu podsunąć fotel, a choćby i taboret, obity adamaszkiem, marnujący się w kącie. Nasz profesor był tutaj chyba najstarszy i choć uhonorowany, zarazem przecież wystawiony na zbyt ciężkie męki.

Po wyjściu z Collegium Maius, po zejściu z kamiennych schodów, szliśmy Jagiellońską ulicą, tą najdostojniejszą ze wszystkich ulic Jagiellońskich w Polsce, gdy stała się rzecz nieoczekiwana. Pani Irena, w lekkich pantofelkach, może zmęczona podróżą, niewyczuwająca krakowskich nierówności, potyka się nagle i w niespełną sekundę upada na kolana. Doskakujemy we dwóch, ale za późno, otarta skóra, mięsz podpływa krwią. Męska obstawa bez refleksu. Na szczęście woda była w pobliżu, w Collegium Novum, na portierni znajduje się przyłepiec. To zdarzenie wyjaśnia, dlaczego udają się przeważnie zamachy na VIP-ów: bo zaskoczenie, bo szybkość zdarzeń ogromna.

Mimo widocznych cierpień, mimo stłuczenia, pani Sławińska chce pocho- dzić po Krakowie. Żadnego rozczulania się nad sobą. Przypomina słowa Iwasz- kiewicza, który pisał o tym mieście, że kto nie widział Krakowa w maju, ten w ogóle ma nikłe pojęcie o pięknie architektury i miejsca. W czasie zwiedzania zaułków – od reformatów po prezentki i kościół św. Tomasza – nasza seniorka zapomina o bólu, poza ból wychodzi, bólu właściwie się wyrzeka. Jakby jej nie dotyczył, lecz kogo innego. Ze zdumieniem widzimy to wyzwolenie, z kwadran- sa na kwadrans. Nieważne, ile cierpień się znosi. Ważne, że mimo wszystko można osiągać zaplanowane cele. W tym wypadku – wszystkie sakralne. Święte miejsca starego Krakowa. Zwiedzamy więc kościoły i przy tym jest chwila na modlitwę. Bo co krok jakieś sanktuarium. Co krok obraz, rzeźba, jeśli nie w nawie głównej, to w kaplicy. W ten sposób pośrednio uczczony zostaje Cze- sław Zgorzelski, drugi obok Sławińskiej filar kulowskiej polonistyki.

Gdy nad jeziorem wypoczywała po tamtych trudach autointerpretacji i auto- prezentacji, po pielgrzymce krakowskiej, wówczas na spacerze omawialiśmy stan literatury miejscowej i polskiej oraz stan kultury w Trzeciej Rzeczypospo- litej. Oto wnioski: występuje jakieś niesprawiedliwe zepchnięcie pisarstwa na margines życia, jakaś powierzchowność i zdawkowość nowej epoki, już bez cenzury, ale i bez poważniejszych zobowiązań. Jest to raczej epoka lakierowa- nych okładek, inwazji czytadeł i kolorowych magazynów. Felietonistyka zaczęła wypierać prozę. „Teraz sport przesłania młodzieży inne sprawy. Mniej czytają,

tylko tyle, żeby zaliczyć egzaminy. Nastawiają się na rywalizację, na współzawodnictwo. Refleksja się nie opłaca. Nie wiedzą, że współpraca jest stokrotnie ważniejsza. Prześlizgnąć się przez kolokwia, egzaminy, «wszystko mieć z głowy». Zanika, zdaje się, rzetelne i głębokie zamiłowanie do literatury” – mówiła.

Dni wakacyjne w Rogóźnie zaczynały się przeważnie od Mszy świętej w kościele. Najpierw dzwoniono, jak to w zwyczaju. W dzień powszedni nie było wielu wiernych. Pustawa nawa, kilka osób z kempingu, kilka „od sióstr” (jak mówiono, mając na myśli szare urszulanki), ktoś z leśnej, niedalekiej „KUL-onii”. Czasem autochton na rowerze albo pieszo. Msza bez organów, skromna, prawie cała mówiona, jakby zapomniano śpiewu. Bez pompy, lecz i tutaj coś kameralnego, co dobrze pasowało do wiejskich wakacji: zapach igliwia, synogarlice wlatujące do kościoła, wróble gdzieś nad chórem, oswojone z nowoczesną przestrzenią, prowadzące własne, ptasie życie ponad głowami wiernych, ponad świętym tabernakulum. W tym wszystkim ofiarowanie Bogu spraw uczelnianych, społecznych, światowych; odkrywanie sposobów działania Opatrzności w historii, w teraźniejszości. Wspomnienie obowiązkowe Ojca Świętego, o którym pani Sławińska sporo opowiadała przy popołudniowej herbacie i truskawkach: spotkania w Watykanie albo w Castel Gandolfo, żarty Jana Pawła II na temat różnych osobistości z KUL-u i z Polski, pytania Ojca Świętego o ważne wydarzenia teatralne w kraju, wydarzenia wciąż bliskie aktorowi dawnego Teatru Rapsodycznego.

Przed kościołem rosną w Rogóźnie bardzo stare drzewa, przeważnie lipy i modrzewie. Gdy się wychodzi z wnętrza na słońce i lipcowe ciepło, te sędziwe rośliny okazują się nagle pożądane. Cieniodajne. Pani Irena ostrożnie schodzi po kamiennych stopniach. Za parę godzin, gdy wyczerpie swoje przedpołudniowe pensum pisarskie, wyruszy na szerokie, lśniące wody Rogózna. Zniknie na długie kwadransy za granicą trzciny. W tym dziwnym, przezroczystym żywiole, nad którym – gdzieś u początku świata – unosił się Duch Boży (jak czytamy w Księdze Rodzaju). Co roku ktoś z nas, uczniów, przyjaciół, ludzi, z którymi się zetknęła, będzie wypatrywał tej niewielkiej ciemnej plamki. Tak rysuje się w oddali głowa pływaczki zmierzającej do bezpiecznej przystani. Jak to się śpiewa w *Godzinkach*...? „O jasna gwiazdo morska, o porcie tonących”.

Czekamy zawsze w tym samym miejscu: na drewnianym, lekko chybczącym się pomoście, z którego dzieci skaczą wprost, na główkę. Oczywiście chłapią, moczając koc i rozłożony „Tygodnik Powszechny”. Dla pewności mamy przy sobie lornetkę, wypróbowaną w wielu eskapadach żeglarskich i górskich. Musimy uzbroić się w cierpliwość, ponieważ pani Irena odplynęła nieco dalej. Jak to kiedyś mówiła? „Na mnie trzeba trochę poczekać. Woda – moje szczęście, moje zadośćuczynienie”.

Na podstawie dzienników lubelskich w Szczecinie, marzec 2004